

Wojciech Bąkowski    Przyjdź do mnie do domu

Pod koniec lata 2006 roku, nasłuchawszy się o nim sporo, lecz mając jedynie przybliżone pojęcie, kim jest, napisałem do Wojtka Bąkowskiego maila z prośbą o spotkanie. Odpisał w tytule wiadomości: *Przyjdź do mnie do domu*. W jego mieszkaniu na ostatnim, szesnastym piętrze bloku centralne miejsce zajmował okrągły stół, przy którym spędziliśmy kilka godzin, omawiając, o ile mnie pamięć nie myli, tematy w kolejności: Mirosław Bałka, Miron Białoszewski, Grupa Ładnie, młoda scena poznańska.

Wojtek jest osobą towarzyską i rozmowną, natomiast dość niechętnie mówi o własnej twórczości, rzadko ujawnia jej tło. Wynika to z przekonania, że sztuka, jako forma wypowiedzi, powinna mówić za siebie, ale też z powściągliwości w poświęcaniu czasu kwestiom technicznym jako jego zdaniem mało ciekawym. Wojtek woli opowiadać anegdoty i dowcipy albo roztrząsać niuanse relacji międzyludzkich. Łatwiej usłyszeć od niego egzystencjalną metaforę niż warsztatowy szczegół. Niejako na przekór temu jego prace artystyczne cechuje formalne i treściowe bogactwo, o które się chce i koniec końców trzeba zapytać.

Przez lata obserwowałem, jak rozwija się relacja prac wizualnych Wojtka Bąkowskiego ze słowem. Najobszerniejszy rozdział stanowi tutaj twórczość na polu animacji, szczególnie seria *Filmów Mówionych* (części 1–6, 2007–2011). Każdemu filmowi z serii towarzyszy poemat, najczęściej w postaci strumienia świadomości mieszkańca polskiego miasta średniej wielkości: pełen przejęzyczeń, gwarowych zwrotów, uproszczeń i zapętleń. Każda część powstała w oparciu o zasadę formalną, przyjętą jak problem do rozwiązania. Na przykład obrazy w *Filmie mówionym 4* (2009) były powiązane ze słowem tak ściśle, że każdy wypowiedziany w tekście rzeczownik wywoływał jego rysunkowe przedstawienie dodawane na ekranie.

W późniejszych dwóch częściach *Analizy wzruszeń i rozdrażnień* (części 1–2, 2015–2016) relacja obrazu i mowy pozostaje bliska, ale język artysty ulega wyczyszczeniu, jest mniej manieryczny, bardziej osobisty, swobodny i konkretny. Choć rysunki, którym poświęcona jest ta książka, odbiegają znacznie od gęstych od słów filmów animowanych, ich relacja z językiem rozgrywa się na innym poziomie. Odsunięcie na bok warstwy literackiej pozwoliło Wojtkowi uwolnić się od specyfiki polszczyzny — trudno przekładalnej na języki obce, szczególnie w tych jej rejestrach, które interesują artystę — i stworzyć rozbudowany poetycki świat wizualny. Oko dość prędko jest gotowe zachwycić się jego scenerią, podziwiał oniryczną atmosferę i oryginalną kompozycję, ale jest tutaj jeszcze zadanie dla głowy: rozpoznanie elementów, zrozumienie relacji między nimi i ułożenie ich w całość. Te rysunki oferują pewien nadmiar treści, są jak skondensowany roztwór, którego działanie — o czym miałem okazję przekonać wiele razy — doskonale uwalnia autorski komentarz. Stąd pomysł na tę książkę. To rozmowa, przewodnik, instrukcja obsługi. I zaproszenie.

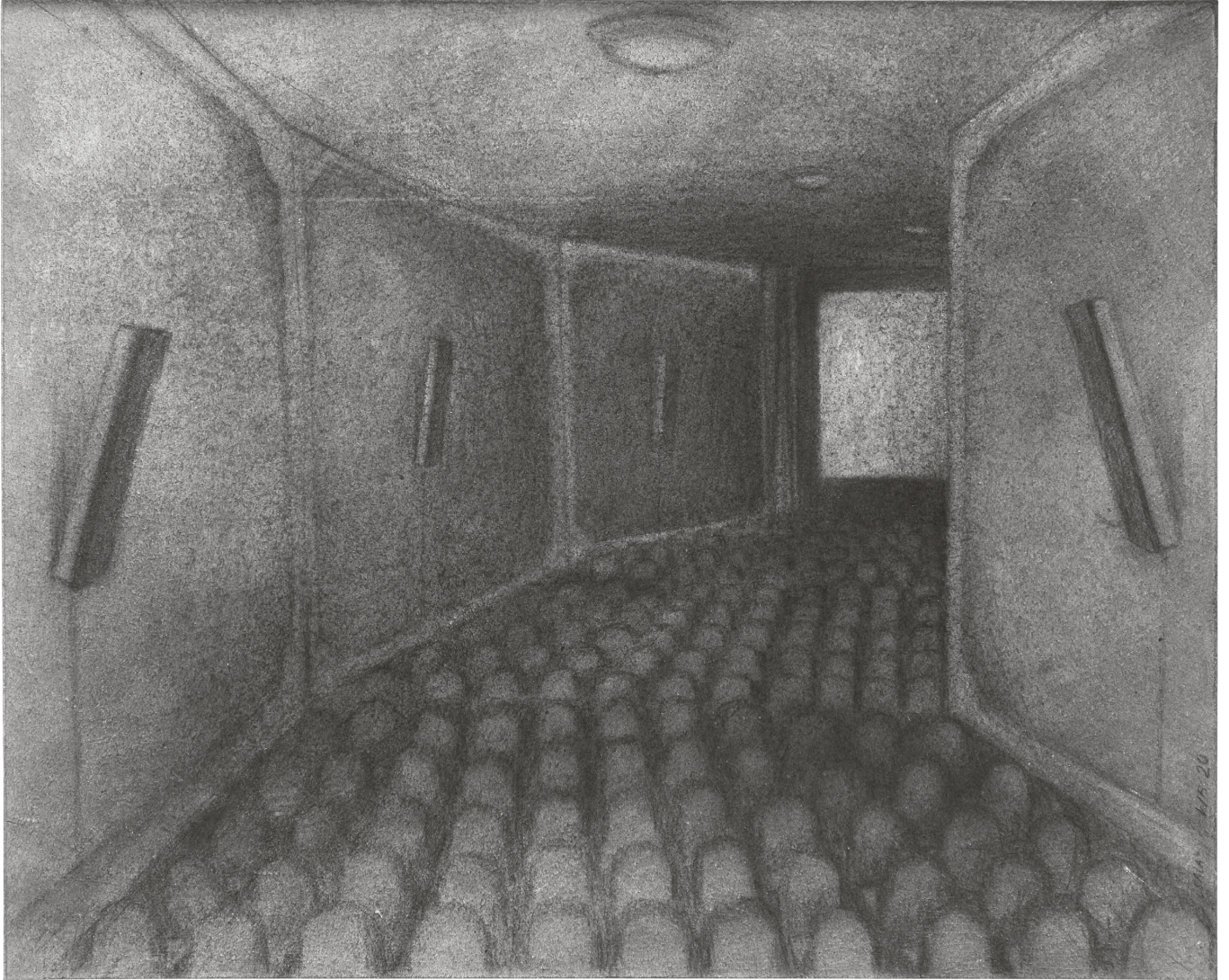
Michał Lasota

To połączenie wnętrza sali kinowej i tramwaju?

Chyba też o ograniczonym dostępie do własnego życia wewnętrznego?

Tak. Moduły zakręcają jak w przegubowym wagonie. Widać tylko część ekranu. Osoby w ostatnim rzędzie nie dojrzą całej akcji. To metafora życia wewnętrznego. Rysunek opowiada o siedzeniu głęboko w sobie.

Też. W ogóle dobrze, gdy metafora działa w dwie strony albo się rozszerza na inne sprawy.



Co to za wspomnienie?

Pamiętam to dobrze. Śnieg rozdeptany w przedświątecznych sprawunkach.

Po herbie na tramwaju można rozpoznać Poznań. Często widziałem żywe karpie noszone w siatkach z odrobiną wody. Ziemia na przystankach składała się z błota i petów, zwłaszcza w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych.

Mieszanka stresu i wzruszenia.

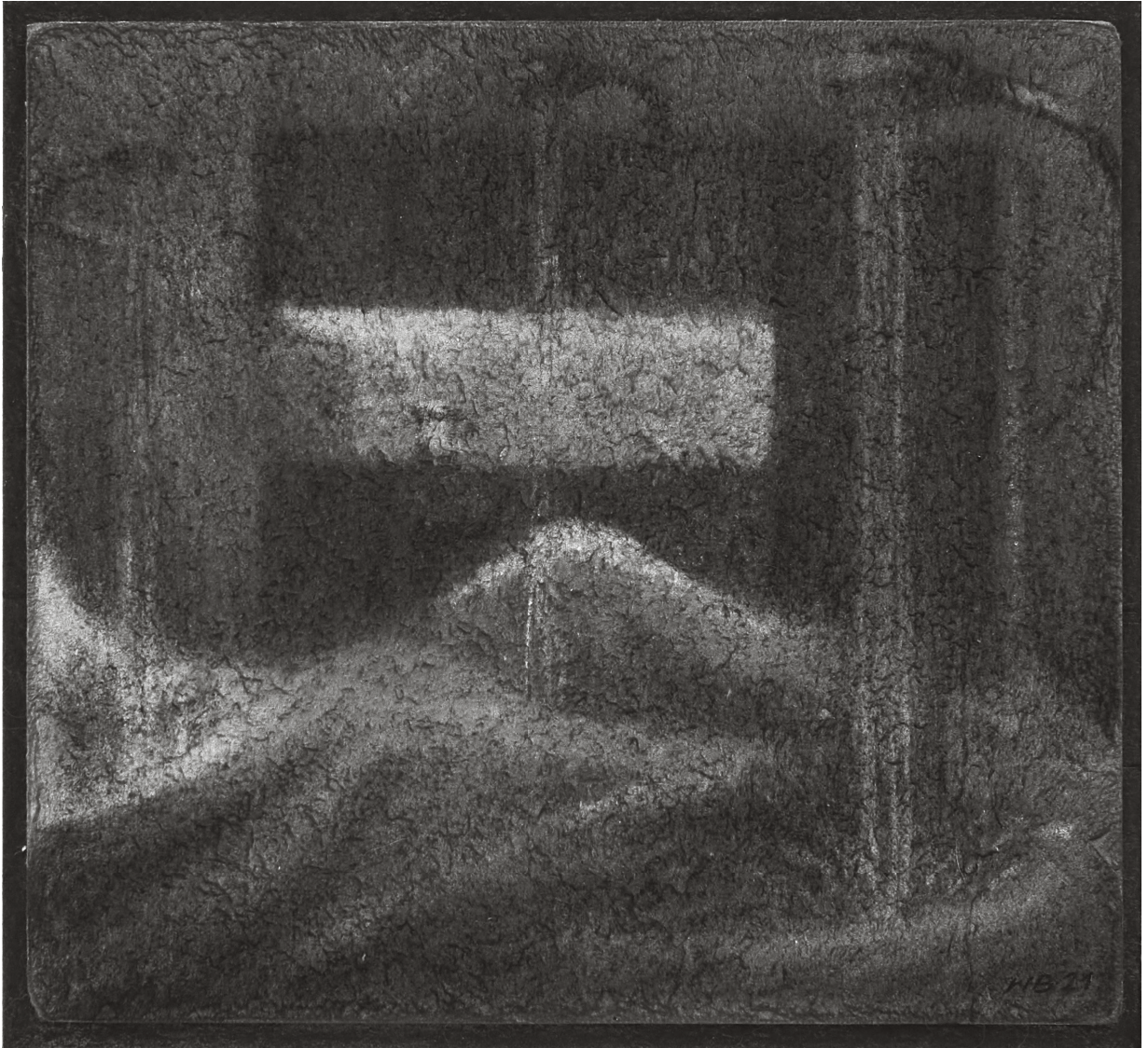


Kuchnia, sypialnia i łazienka w jednym?

To przedstawienie stresu. Problemy z decyzyjnością i planowaniem oraz pośpiech pokazane są jako taniec kołder i pryszniców na tle zabudowy kuchennej. To koszmar, panika.

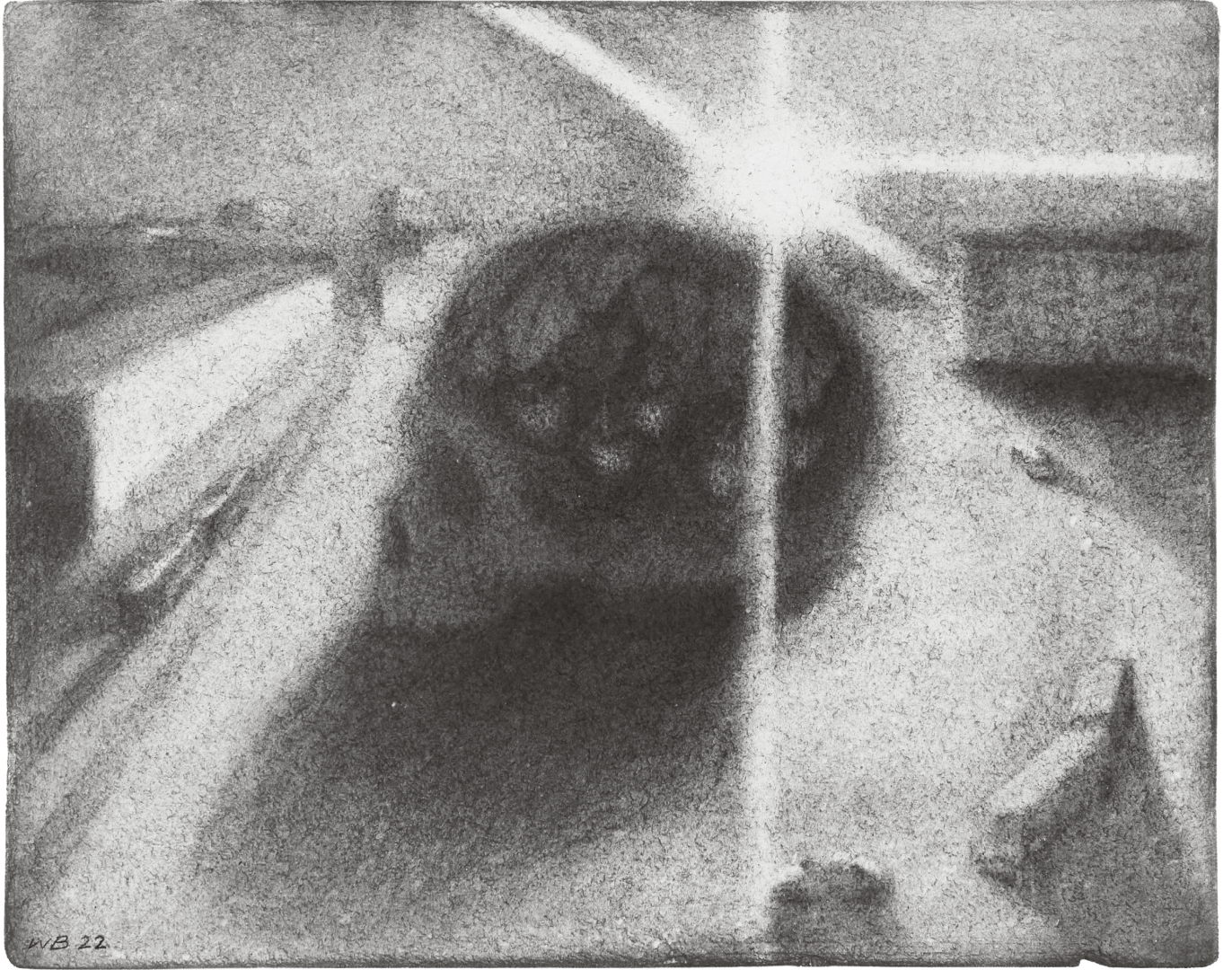
Jesteś człowiekiem punktualnym?

Raczej tak, ale też zdarzają się katastrofy.



Wielka czaszka stoi na słonecznym placu czy czaszka naturalnej wielkości na makiecie miasta?

Stoi na słonecznym placu i jest wypełniona truskawkami. To też wyobrażenie wylewu lub udaru albo innej śmierci, która dopada w środku dnia. Takie przeżycia najlepiej opisywał Miron Białoszewski. Truskawki są tutaj przedstawieniem niedorzecznych odczuć smakowych lub zapachowych, taka mózgowa usterka. Ważne jest też, że wewnątrz czaszki wypełnia cień. Chciałem, aby ta czaszka kojarzyła się z barokowym kościołem, którego wewnątrz oszałamia chłodem i mrokiem w upalny dzień. To moje wspomnienie poznańskiej Fary.



Co to za danie na talerzu?

Ziemniaki. To ważny element poznańskiego życia — żółte, pastewne ziemniaki, które mają smak. Warszawiacy tego nie rozumieją.

Warszawiacy nie mają pojęcia o ziemniakach, ale w Poznaniu podają je z twarożkiem.

Zgzikiem. Chłopskie, proste danie. Ja jednak wolę ziemniaki ze śledziem w śmietanie. Te sprawy bardzo zajmowały Nowojorczyków na mojej wystawie w Bureau. Ja nie chciałem za bardzo o tym gadać, ale mój brat chętnie objaśniał, przez co na moment stał się kustoszem wystawy.

Wprowadzanie takich szczegółów ma znaczenie realistyczne?

To znaczy?

Potrzebowałeś narysować danie na talerzu i wybrałeś akurat poznańskie ziemniaki, czyli rozwiązanie charakterystyczne, a nie jakiś uniwersalny obiad, na przykład spaghetti.

Każdy trochę inaczej układa te proporcje ogólności do motywów własnych. U Giorgio de Chirico pejzaże są fantastyczne i jakoś uogólnione, ale to jednak Florencja, Turyn. Ja chcę być „polski”, a nawet „poznański”. Sam lubię odkrywać to u innych, lubię tę myśl: ahaaa, to dlatego tak.

Takie detale zakotwiczą sztukę w rzeczywistości?

Tak, inaczej robi się zbyt chłodno.

